



CZESŁAW KOTOWSKI

Warszawa, 27 sierpnia 1946 r. P.o. sędziego śledczego, delegowana do Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Warszawie Halina Wereńko przesłuchała w charakterze świadka, bez przysięgi, Czesława Kotowskiego, byłego więźnia obozu koncentracyjnego w Neuengamme nr 46 642, który uprzedzony o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Czesław Kotowski
Data urodzenia	19 lipca 1902 r. w Warszawie
Narodowość i przynależność państwowa	polska
Wyznanie	rzymskokatolickie
Zawód	robotnik
Wykształcenie	trzy klasy szkoły powszechnej
Stan cywilny	żonaty, troje dzieci
Miejsce zamieszkania	Warszawa, ul. Fontany 36

28 sierpnia 1944 roku na Marymoncie zostało ogłoszone przez megafon, iż ludność cywilna ma opuścić Warszawę. Razem z rodziną udałem się do Wawrzyszewa, skąd SS-mani popędzili nas do kościoła św. Wojciecha, a stąd partiami dostawiono ludność do obozu przejściowego w Pruszkowie. W Pruszkowie po rozłączeniu z żoną i dziećmi przyłączono mnie do transportu 3 tys. mężczyzn i transport ten odstawiono do obozu w Stutthofie. Po miesiącu tysięcy mężczyzn z tego transportu, w tej liczbie i mnie, przewieziono do obozu Neuengamme.

Po czterech dniach pobytu w tym obozie zostałem przydzielony do komanda w Hamburgu, podporządkowanego *Lagerführerowi* z Neuengamme Thumannowi. Komando w Hamburgu

liczyło około 7 tys. więźniów, którzy byli podzieleni na mniejsze grupy, wysyłane w teren do kopania rowów przeciwczołgowych lub zatrudnione w Hamburgu np. przy naprawie urządzeń portowych.

Blok, gdzie mieszkaliśmy, mieścił się w gmachu dawnych składów tytoniowych, stał nad morzem, ulicy nie pamiętam. Na czele komanda stał oficer SS, którego nazwiska nie znam, wysoki brunet bez znaków szczególnych.

Nie wiem, czy ten oficer został ujęty przez władze angielskie. Był to człowiek okrutny. Pamiętam, iż skopał więźnia za to, że nie dość szybko stanął na baczność, gdy komendant wszedł na salę. 31 grudnia 1944 roku o trzynastej, w czasie nalotu samolotów brytyjskich na port w Hamburgu, zostałem ciężko ranny. Miałem złamaną rękę, nogę, uszkodzoną kość policzkową. W czasie nalotu z grupy robotniczej 250 więźniów uszło z życiem tylko trzynastu. Chroniliśmy się w bunkrze, który był już raz zbombardowany, Niemcy chronili się w innym bunkrze, nieuszkodzonym, i zginęło tam tylko czterech wachmanów.

1 stycznia 1945 przewieziono mnie do szpitala w Neuengamme, na 2 blok. Pierwszy opatrunek założono mi 5 stycznia. Dotąd nie rozumiem, jakim cudem nie dostałem zakażenia. W szpitalu chorymi zajmowali się lekarze obcokrajowcy spośród więźniów, nie widziałem żadnego lekarza Niemca, oprócz lekarza naczelnego. Chorym dawano rano pół szklanki czarnej i niesłodzonej kawy i 10 dekagramów chleba (bochenek na sześciu chorych), na obiad litr zupy, zwykle z brukwi, zaprawionej kartoflami, na kolację pół szklanki kawy. Obsługiwali więźniowie, z tym, iż był zakaz podawania chorym wody. Leżałem na sali o wymiarach 8 x 4 metry.

Chorzy leżeli na dwupiętrowych pryczach, po dwóch na każdej. Sala była zapluskwiona, chorzy zawszeni, żadnych środków dezynfekujących nie było. Co kilka dni posługacz wycierał ścierką podłogę. Opatrunki zakładano mi co drugi dzień, używając ligniny i bandaży papierowych, które rwały się zaraz pierwszego dnia. Sala nie była opalana. Na pryczach leżała słoma, ja i więzień obok mnie leżący mieliśmy dwa koce do dyspozycji, zaścielaliśmy jednym kocem słomę, drugim przykrywaliśmy się razem.

W ciągu dwóch tygodni mej choroby obok mnie leżał chory na gruźlicę Holender, który zmarł, po nim ranny w głowę Cygan niemiecki – zmarł po tygodniu, trzeci leżał koło mnie Rosjanin chory na żołądek, nie orientuję się, czy była to choroba zakaźna. Razem na sali

leżało 32 chorych. W ciągu mego pobytu do początku marca 1945 zmarło około piętnastu chorych. W lutym odbyła się inspekcja władz w szpitalu, przybył na salę oficer SS, o którym mówiono, iż jest lekarzem niemieckim (nazwiska którego nie znam), i przyglądał się chorym, przy czym nikogo nie zbadał, lecz na oko wskazywał lekarzom obcokrajowcom chorych, których należy wypisać ze szpitala. Mnie wypisano, mimo iż z trudem mogłem się poruszać. Przydzielono mnie do robót na *Holzplatzu*, to jest przy przenoszeniu drzewa. Będąc chory, nie byłem w stanie dźwigać ciężarów, a już zupełnie nie mogłem prędko się ruszać. Wobec tego bito mnie, SS-mani i kapowie bili mnie przeważnie w głowę kijami. Po dwóch dniach takiego bicia spuchłem, ogłuchłem i znów zostałem odesłany, tym razem do 3 bloku w szpitalu, na tydzień. Na 3 bloku rewiru była sala podobna jak i na 2, z tym, iż na pryczy leżało po trzech chorych. Chorowano tu przeważnie na opuchliznę i rozwolnienie. U nikogo nie stosowano leczenia i nie podawano chorym wody. W ciągu tygodnia umarło na sali pięciu więźniów. Wizytowali nas lekarze obcokrajowcy, bezradni wobec braku lekarstw.

Po wypisaniu mnie ze szpitala zatrudniono mnie w bunkrze przy 1 bloku, przy wyrabianiu siatki do maskowania dział, plecionej ze sznurków papierowych. W kwietniu 1945 przybył do obozu szwedzki czy też duński Czerwony Krzyż, który zabrał wszystkich Duńczyków. Około 15 kwietnia (daty dokładnie nie pamiętam) władze obozowe zarządziły ewakuację chorych i słabych więźniów. Pamiętam, iż było to w niedzielę około dziesiątej, gdy lekarze obcokrajowcy poukładali ciężko chorych na samochodach, ja razem ze słabymi i lżej chorymi także zostałem zabrany. Samochodami dostawiono nas do toru kolejowego i pomieszczono w zadrutowanych wagonach towarowych. W ten sposób zabrano z obozu 6 tys. chorych i słabych. Po trzech dniach podróży w niewiadomym mi kierunku lokomotywa odjechała, pociąg z nami stanął wśród lasów.

Przez drogę dano nam tylko raz bochenek chleba na 22 więźniów. Pilnowali nas żołnierze z Wehrmachtu. W dniu, gdy lokomotywa odjechała, więźniowie (i ja także) widzieliśmy w lesie pokopane doły, pilnujący nas żołnierze powychodzili na zewnątrz, drutując wagony. Jednocześnie słytać było wyraźnie odgłosy walki frontowej, ziemia drżała od strzałów artyleryjskich. W pewnej chwili zobaczyłem, iż nadjechał samochodem Thumann oraz komendant komanda z Hamburga z innymi SS-manami, którzy po rozmowie z naszą eskortą odjechali. Zamiast egzekucji, którą przewidywaliśmy, nadjechała lokomotywa i pojechaliśmy do Hamburga, stąd znów na zachód, ostatecznie w sobotę, a więc na siódmy dzień wędrówki, przybyliśmy do Zamposten, skąd kolejką wąskotorową i furami zabrano



najprzód trupy z transportu w liczbie około 3 tys. Połowa transportu jeszcze żyjąca została przewieziona do oflagu, gdzie wszystkie narodowości znalazły ziomków, którzy się nimi zajęli.

W końcu kwietnia przybyły wojska angielskie. Byłem w tym czasie spuchnięty i bardzo chory, wojskowe władze angielskie odstawiły chorych do szpitala w Zamposten, gdzie przebywałem, karmiony i leczony, miesiąc; po czym wzięto mnie jeszcze do wojskowego szpitala angielskiego w Bassum na wypoczynek i odżywianie w ciągu czterech tygodni.

Wróciłem do Polski w listopadzie 1945 roku i otrzymałem pracę w wydziale ogrodniczym w Zarządzie Miejskim w Warszawie.

W tej chwili nie jestem zdrow po tamtych przeżyciach. Mam zaniki pamięci, prawa noga jest dotąd spuchnięta i ma blizny. Od czasu, gdy mnie w czasie pracy po chorobie i w czasie pędzenia do bunkrów w czasie nalotów bito po głowie, źle słyszę na oboje uszu.